

CZŁOWIEK Z PAPUŻKĄ

Rozdział powieści historycznej Marka Sadowicza *Powrót Katarzyny*
(Warszawa 1972, MON)

Nie wypadło mi po prostu i nie pytałem Lucienne o jej męża, litewskiego wielmożę Kieżgajłę. Dopiero gdzie indziej się dowiedziałem o jego penetracji w Moskwie. Poznałem go jako zwolennika bliskiej współpracy Rzeczypospolitej ze wschodnim sąsiadem. Zgadzałoby się to z intencjami Francji. W danej sytuacji pacyfikacja stosunków z Moskwą byłaby nam bardzo na rękę, bo nakłoniłaby Turcję do ustępstw wobec nas. To z kolei rozwiązałoby nam ręce na Zachodzie. Kieżgajłło działa w tym kierunku, nie tylko on, czy nie posunął się jednak w gestach przyjaźni zbyt daleko?

Dla odpoczynku wybrałem się na ulicę Piwną, do mego przyjaciela Władysława Zambrzyckiego. Poznałem go już dawniej i ta znajomość dostarczała mi wiele satysfakcji, już chociażby z racji wielkiej jego erudycji i żywości umysłu.

Starszy człowiek, kawaler, siostra prowadzi mu skromne gospodarstwo. Przyjął mnie w małej sklepionej izdebce, zarzuconej od dołu do góry księgami i manuskryptami. Sylwetkę gospodarza uzupełniała papużka z gatunku nierozłazek. Siedziała na jego ramieniu, to znowu zlatywała na stół i kwiląc, spacerowała po rozłożonych papierach.

Zambrzycki ogromnie się mną ucieszył. Zapomniał, kiedy mnie widział ostatni raz, zdawało mu się, że bardzo dawno.

– A obejrzałeś sobie naszą Warszawę? – zapytał.

– No oczywiście, że obejrzałem.

Właściwie to niewiele się zmieniła, od czasu kiedy ją widziałem ostatnio. Zajęty wciąż ludźmi, niewiele myślałem o mieście. Warszawa – mówię o Starym Mieście, to jest w obrębie murów – była moją Warszawą, nie myślałem o tym, czy jest taka czy inna. Bardzo barwne barokowe miasto, krzyczące kolorowymi polichromiami, lśniące złoceniami, ożywione licznymi detalami, gmerkami, panneaux, rzeźbami.

– To jest wprost cud – unosił się Władzio Zambrzycki – i pomyśleć, że po najeździe szwedzkim i po Rakoczym to była po prostu kupa gruzów. Odrodziła się jak Feniks z popiołów. Ale cóż, to już nie jest to samo miasto, w którym wzrastałem.

Warszawa Zambrzyckiego, jego dzieciństwa i młodości, to było miasto gotyckie, na którego planie powstało to nowe. Gdzieniedzie tylko jakiś portal, podstawa wieży kościoła Augustianów czy jakiś inny zachowany szczegół, mury obronne z czerwonej, wypalanej starą sztuką cegły gotyckiej, przypominały przeszłość.

– Gdyby nie te parę drobiazgów i nie nazwy ulic... – zamyślił się mój przyjaciel. – Na przykład Anna Samotrzecia. Czy zwróciłeś uwagę na postument, przedstawiający kobietę z dwojgiem dzieci na ręku, z tych jedno w koronie... To jest jeden z talizmanów miasta. Cóż przedstawia ta rzeźba? Próbowano jej nadać treść chrześcijańską, że to niby św. Anna z córką Marią na ręku i małym Jezu-

sem... Coś się tu jednak nie zgadza. Matka Boska i jej syn jako rówieśne dzieci... Nie, nie. To jest dawniejsza historia, przedchrześcijańska, z tych czasów, z których pochodzi kształt Krzywego Koła jako znak prastarego zaklęcia.

– Dla mnie Warszawa jest miła taka, jaką widzę, w kwiecistych barwach, pełna rozmachu i humoru, miasto, które nie pozwoliło się unicestwić. Miasto wesołe.

– Warszawa nie jest wesoła. Zbyt dawno tu mieszkają ludzie. W jej murach, podwalinach, przechował się ślad wielu zbrodni i spraw tajemnych. A poza tym...

Porwał się, papużka, kwiląc, sfrunęła z jego ramienia.

– ...Poza tym to nie jest miasto szczęśliwe. Król Zygmunt niepotrzebnie tu przeniósł siedzibę królewską. Kraków jest w posiadaniu szczęśliwego kamienia. Kraków jest szczęśliwy, chociaż i tam toczyły się i toczą sprawy człowiecze. A Warszawa... będzie jeszcze zniszczona. Varsovia delenda est. Warszawa, choćby w swojej niebywalej żywotności sto razy dźwigała się ze zgliszcz... Varsovia delenda est.

Zambrzycki musiał już iść. Przyjął ostatnio pracę w oficynie księgarskiej Piotra Elerta, od wielu lat prosperującej na ulicy Świętojańskiej. Zaproponował mi, żebym poszedł z nim razem, schodzi się tam na pogawędki brać literacka. Weszliśmy do pomieszczenia jak długa mroczna kiszka, u góry sklepiona, a po bokach wypełniona książkami na półkach i regałach. Drukarnia znajdowała się zapewne w sąsiednim pomieszczeniu, a raczej w głębi posesji, skąd dolatywały niekiedy odgłosy prasy drukarskiej oraz zapach farby. Przy kantorku w pobliżu wejścia siedział sam Piotr Elert, którego znałem z Zamku, pełnił on bowiem przy dworze jakieś urzędy artystyczne w dworskim teatrze i kapeli.

Stary Elert ucieszył się zarówno z mojego przybycia, jak i z tego, że będzie mógł iść do Zamku na próbę kapeli i zostawić oficynę na głowie Zambrzyckiego.

– I dotrzymacie waszmościowie towarzystwa tak miłemu nam gościowi, który opuścił właśnie rodzinny Lwów dla naszej niegościnnej Warszawy...

– Gościnną to ona jest, kto ją potrafi polubić. – Z mroków wyłonił się człowiek dość stary, ale krzepki, ubrany skromnie, po polsku, z podgoloną czupryną.

– Jegomość pan Józef Bartłomiej Zimorowic – przedstawił go Elert – burmistrz sławetnego Lwowa i jego obrońca przeciw rebeliantom Chmielnickiego i przeciw Turkom, a co dla nas ważniejsze, autor wielu dzieł znakomitych, jak to: *Sielanki nowe ruskie*, *Żywot Kozaków Lisowskich*, *Testament luterski*, *Satyry*, wierszyki erotyczne et caetera, et caetera...

Byłem rad z poznania Zimorowica, i w ogóle miałem szczęście, bo wkrótce po wyjściu Elerta zjawił się jeszcze Wespazjan Kochowski oraz kilku innych mniej albo bardziej szczęśliwych kochanków muz.

Zambrzycki zaświecił lampkę oliwną w ciężkim kandelabrze. Zaczęli zjawiać się klienci, jeden, potem drugi. Jakiś szlachciura poszukiwał kalendarza, takiego, co w nim można przeczytać ciekawe opowieści, a także znaleźć przepis na nalewki oraz porady przeciw słabościom. Podobnych nabywców, głównie spośród szlachty przyjezdnej, było sporo. Zjawiła się jednak i dama ze służącą, pytając o duży tom *Astrei*, wielkiego romansu Honoré d'Urfé w pięciu częściach, które księgarz wypisywał dla niej kolejno z Paryża. Przyszedł też młody człowiek, chy-

ba mieszczanin, stały widocznie klient, bo w dość konfidencjonalnych stosunkach z Zambrzyckim, i zapytał o *Władysława IV*. Tu mogłem zauważyć, jak świeża jest jeszcze pamięć „potopu” szwedzkiego. Rozmowa natychmiast przeskoczyła na czasy najazdu. Stąd to Kochowski znalazł się w ogniu dyskusji.

– Nikt nie zarzuci jegomości, żeś sam nie widział, trzymając w niejednej bitwie kopię husarską w ręku.

– Z tego najmniej mogę wiedzieć, zem kopię trzymał. Dzierżąc kopię, szablę, w ogniu bitwy nie wie się nic. Aż dopiero dokumenty...

– Więc wasze dopiero dokumentów szukasz na to, coś widział własnymi oczyma?

– A nie inaczej. Żołnierza oczy najmniej widzą, bo oślepią je ogień i krew, baczyc muszą na poruszenia szabli przeciwnika... Stąd też w moich *Climacterach* znajdziecie tak mało wzmianek o mojej osobie, że można by zwątpić, jakobym tam był... Nie pisałem pamiętnika, bo cóż znaczy moja mizerna osoba wobec wydarzeń, które trzęsły Rzeczpospolitą i światem. Moją rzeczą jako pisarza było właśnie odwrócić się od własnych wrażeń, które nie są ważne i współmierne ze skalą historii. Historyka obowiązuje ścisłość, prawda, która zostanie dla potomnych... Cóż są warte piśmidła Lucceniusa z ich nieścisłościami i fałszem, dla mnie wzorem będzie zawsze Sallustius, który pisząc historię jechał na miejsce bitwy, żeby przeprowadzić wizję lokalną.

– A jednak – przerwał Władysław – opisałeś mowę Karola Gustawa do Rakoczego, której on wcale nie wygłosił.

– Miałem jednak fakty i okoliczności, z którymi treść i ton przemówienia są zgodne. Nie jest ważne, w jakiej formie i czy zostały naprawdę wypowiedziane, wszystko wskazuje na to, że tak właśnie słowa króla szwedzkiego skierowane do Rakoczego brzmieć powinny.

– A więc historia, która mogła się zdarzyć, historia prawdopodobna to już jest fantazja, romansopisarstwo, literatura.

– A ty że sam – odparł Kochowski – ze swoją wymową znaków w cegle, różnych dziwnych haczyków i krzyżyków, które mogłyby oznaczać na przykład dla murarza koniec dziennej roboty, wyprowadzasz wnioski nie tylko dla historii, ale dla przyszłości...

Zambrzycki, który lubił fantazjować i z tego go znano, szybko się wycofał:

– Fantazja jest jako klej spawający luźne ziarnka faktów, bez niej nigdy nie dojrzysz całości.

– Zgoda, jeśli spawa fragmenty prawdy, nie kłamstwa. Ćwierć wieku minęło i obecnie trudno nawet uwierzyć, ile narosło legend i fałszerstw, nawet nieświadomych, o wydarzeniach oglądanych przez nas na własne oczy. Toteż trzeba od razu chwytać i zapisywać. Zapis tym bliższy prawdy, im wcześniejszy.

– Niekoniecznie. Prawda o wydarzeniach nie zawsze znajduje łaskę, dopóki żyją ich bohaterowie. To ciekawe, że niedaleka przeszłość jest żywsza w ludzkiej świadomości niż dzień dzisiejszy, raczej niepewny i mglisty.

Rzeczywiście, pamięć szwedzkiego najazdu tak była żywa, nawet u młodych, którzy go pamiętały nie mogli, że kiedy wymknęła mi się wzmianka o projektowanym wyjeździe do Szwecji, wywołałem niemal wstrząs. Jeden przez drugiego całkiem zgodnie przekonywali mnie, że u tych barbarzyńców i rabusiów z pół-

nocy nie ma czego szukać, bo już pokazali, czym są. Lepszy Turczyn i Tatarzyn od Szweda.

– A jednak – wtrącił młody mieszczanin, który, jak mi powiedział Władzio, kupił niedawno spod lady unikalną *Biblię* Budnego – arianie im sprzyjali i sprzyjają.

Wzmianka o arianach, „kacerzach” bądź co bądź, nie mogła w towarzystwie intelektualistów i libertynów wzbudzić jednoznacznej niechęci.

– To nieszczęście dla arian – rzekł Zambrzycki – że związali się z najeźdźcą. Przez to pogrzebali swoją myśl, która mogła nas odrodzić. A to, że ich z Polski wygnano, to w świecie, zwłaszcza w krajach protestanckich, wywarło bardzo złe wrażenie. Stąd bajki, że to koniec polskiej tolerancji, że staliśmy się krajem świętej inkwizycji i stosu...

– Nie przesadzajmy – obruszył się Kochowski – tolerancja jest dobra wobec tolerancyjnych. Jednak skoro ją wykorzystuje wróg, który sam, gdyby tylko mógł, podeptałby naszą wolność...

– Mieli i oni swoich bohaterów – westchnął Zimorowic – ot chociażby Kostka Napierski. Przywódca chłopski, głosiciel ariańskich ideałów, stracony w krakowskiej srogiej kaźni...

– Nie powiadaj waść o Kostce – przerwał Kochowski. – Kto to w ogóle był ten Kostka Napierski? Paź na dworze królewskim, dworzanin, oficer na wojnie trzydziestoletniej, później dyplomata... Do tejże Szwecji z posłaniami jeździł... wysoko ceniony na królewskich dworach. I raptem zrobił się chłopskim przywódcą. Akurat wtedy, gdy Rzeczpospolitą załaza wojna kozacka i najazdy kochanych sąsiadów. Kostka Napierski to był agent szwedzki, działał przez tychże arianów, wśród których Szwedzi założyli swoją agenturę. Skazano go nie za poglądy, tylko za zbrojną rebelię. Wąchał się z Iwanem Wyhowskim, wówczas prawą ręką Chmielnickiego, również arianinem.

– Wyhowski to była ostatnia nasza szansa odzyskania całej Ukrainy. To jemu zawdzięczamy umowę hadziacką...

– I być może także jej upadek. Wyhowski w ostatecznym rachunku został rozstrzelany za zdradę. Tym razem z Turcją.

– Wraz z nim poszła do grobu ostatnia nadzieja ugody z Ukrainą.

– To jeszcze nie całkiem zgrana karta.

– Kostka Napierski – młody mieszczanin, czytelnik *Biblii* Budnego nie dawał za wygraną – Kostka Napierski agentem szwedzkim? Niemożliwe. Ten człowiek niewiadomego pochodzenia, być może syn chłopski albo mieszczański, zrobił wielką karierę i w końcu ruszył w góry, między chłopstwo, żeby walczyć o prawa dla swych braci.

Tu Zambrzycki poklepał go po ramieniu.

– Trochę to nie tak, przyjacielu. Pochodzenie Kostki nie tyle jest nieznane, co nieujawnione. Zwróćcie panowie uwagę, że ten człowiek nie miał w Polsce krewnych, nikt się do niego nie przyznawał, a jednak traktowano go od początku jako szlachcica. Szlachcic w Polsce bez koligacji? To się nie zdarza. Miał on koligacje, i to nie byle jakie.

Zambrzycki objaśnił lampę i podniósł w górę palec w ogólnej ciszy, jaka nastąpiła wobec zapowiedzianej rewelacji plotkarsko-politycznej.

– Otóż Kostka Napierski był synem... królewicza Władysława, późniejszego króla. A jego matka? Kostczanka. Otóż to. Właśnie toczy się proces kanonizacyjny Stanisława Kostki, a tu taki casus, krewniaczka świętego ma bękarta, choćby po królu. Kanonizacja Polaka ma znaczenie międzynarodowe, to sprawa prestiżowa poza wszystkim. No więc cóż? Rozgłoszono o niewiadomym pochodzeniu dziecka, ale nie odebrano mu należnego nazwiska i król miał pieczę nad swoim potomkiem. Niestety, nie na dobre to wyszło.

Kochowski nie bardzo się zgadzał z wywoдем Zambrzyckiego, że ten rzekomo coś poprzekręcał, o mało się nie pokłócili. Zambrzycki z uwagi na spóźnioną porę zamknął oficynę, hurmem poszliśmy na czyjąś propozycję odwiedzić malarza Łukasza w jego mansardzie przy rogu uliczki Gnojnej.

Łukasz powitał nas radośnie, chociaż, jak się zdaje, układał się spać. Z długą brodą i w czarnej czapeczce wyglądał na postać biblijną, miał oczy dziecka. Przybyła wataha zaczęła domagać się pokazania obrazu Najświętszej Marii Panny, który właśnie malował, jak wiadano, dla warszawskiej Fary. Żądanie było bezprzedmiotowe, bo w ciemnościach, rozświetlonych tylko jakąś drzazgą, trudno było oglądać obraz. Niemniej Łukasz zdjął zasłonę i przybyli, jakkolwiek nie malarze, pokłócili się o prawo używania w obrazach złota.

– Malarz, nie będąc alchemikiem, nie może mieszaniami farb stworzyć prawdziwego złota. Czymże jednak jest złoto? Cała jego wartość to to, że się świeci. Malarz za pomocą swojej cudnej sztuki powinien stworzyć klejnoty piękniejsze od tych, jakie zdobią szaty bogatych. Inaczej za najlepszych malarzy trzeba by uznać złotników... – perorował jeden z młodych, którego dotąd nie dopuszczano do głosu.

– A złocista szata – krzyczał inny – Matki Boskiej Częstochowskiej, wspaniałego dzieła bizantyjskiego...

– To konwencja bizantyjska, już umarła, zamknięta.

– Bo sztuka bizantyjska jest tylko odnożem, gałęzią, która się skończyła, podczas kiedy główny pień wyrasta wprost z antyku, jest jego doskonaleniem, i co uznaliśmy za świetne w dziele malarstwa, to proporcje wszystkich postaci, oparte na antycznych rzeźbach.

Padła myśl zjedzenia czegokolwiek w pobliskiej oberży Ormianina i napicia się wina. Ogólny entuzjazm zwarzyła dopiero mętna uwaga któregoś z młodzieńców, że poczciwy Ormianin już dawno przestał borgować. Wątpliwości młodzieńca zgasił Kochowski wielkopańskim gestem dłoni, który znaczył, że materialna strona sprawy nie ma tu znaczenia. Podobne gesty burmistrza lwowskiego, poety oraz młodego mieszczanina zamknęły kwestię i Łukasz, który przez cały czas nie przemówił ani słowa, poprzestając na pomrukiwaniach i poruszaniu kudłatą brodą, pierwszy skoczył do drzwi, wysforował się na czoło i szedł wielkimi krokami w kierunku gospody.

Niespodziewanie zjawił się chłopak z pochodnią. Zimorowic go wynajął i migotliwy blask łuczywa oświetlił wydłużoną postać Łukasza, przydając jego nędznej szacie kształty greckiego chitona. Niezwykła nędzota tej figury, niemal bosej, zastanowiła Kochowskiego, który zrównał się z Łukaszem i obrzucając go spojrzeniem z boku, zapytał:

– To waść jesteś tym Łukaszem, malarzem tak pięknych kościelnych obrazów, a więc tak wielkiemu Panu służysz?... – nie dokończył, kiedy Łukasz machnął ręką.

– Jaka praca, taka płaca.

W ciepłym blasku szynkowni Ormianin podał wina w cynowych konwiach, a następnie odbył krótką naradę z Kochowskim, uznając go za amfitriona. Muszę przyznać, że apetyty mieliśmy dobre, toteż potrawa z barana po armeńsku, wprost z różną, pieczona na ogniu wraz z cebulą, zaprawiona korzeniami, szafranem, smakowała znakomicie. Ledwo zaspokoiliśmy pierwszy głód, wróciła burzliwa dyskusja. Kłócono się o Poussina. Zambrzycki nazwał go najbardziej godnym ulubieńcem muz od czasów mistrzów starożytności, Apellesa, Tymontesa, Protogenesa. Wartość jego dzieła polega na tym, że sens moralny obrazu waży tyle, albo więcej, co jego walory plastyczne. Na to Kochowski, że barok, ta sztuka dzisiejsza, do niedawna pogardzana i traktowana jako barbarzyństwo i brak smaku, dla nas Polaków ma szczególną wartość. Oto we wspaniałym kolorze i geście, w brzmieniu słowa, w jego hiperbolach, antytezach i asonansach wyrażają się najpełniej właściwości duszy polskiej i charakter Sarmatów, na których Opatrzność włożyła obowiązek obrony wolności i piękna w nieskrępowanym, swobodnym rozwoju.

– To nie przypadek, że wasza wielmożność, mistrz słowa, pierwej niż pióro dzierżyłeś w ręku kopię husarską i szablę, a ja także, skromny łyk lwowski, dyrygowałem ogniem Marsa, zanim przyszło ukołysać duszę rytmem sielanek ruskich – poparł Kochowskiego Zimorowic.

– Bo poprzez Ruś przebiega granica pożogi i płomień strawi nasze ogrody i kwietne wirydarze, jeśli nie zagasimy go żelazem. Barbarzyńca stratuje, niszczy nasze dzieła, obrazy, kościoły i domostwa, zagrabi piękno i barwę życia. Barbarzyństwo od południa, północy i wschodu. Nasze szable i puklerze bronią piękna i wolności piękno rodzącej. Patos husarskiego szyku bojowego, skrzydła orle szumiące nad szyszakami rycerstwa, już to warte jest dzieła, pochwycenia wzniesionych szabel, kopyt galopujących koni w jedynej niepowtarzalnej chwili...

I sam Kochowski, podgoloną czupryną, niemal chochołem kozackim, w kontuszu wdzięcznie drapującym smukłą postać, wydał się husarzem, który dopiero co zsiadł z konia i zdjął z piersi kirys albo karacnę.

– Jednakowoż - westchnął Zimorowic – ta wolność, której bronimy, nie dla wszystkich jest jednaka... Płacz wieśniaka pędzonego na pańszczyznę, głód jego dzieci...

– Nie mów waść o głodzie. A co do wolności... Bóg ustanowił porządek świata i jednych postawił na górze, innych na dole. Jakoż mogłyby kwitnąć sztuki piękne starożytności, jej filozofia i poezja, gdyby nie praca niewolników?... My niewolnictwa nie znamy, a raczej przyrównać można poddanych do dzieci, nad którymi stan szlachecki sprawuje ojcowską władzę.

Tu zachnął się Zambrzycki:

– Kiepskie to ojcostwo. – Sieroca dola gminu... Francuski Król Słońce, utrzymując kunsztowną hierarchię szlachty i arystokracji, dba również i o to, żeby każdy mizerak miał tłusty obiad dla swojej rodziny. Francja, nasza siostrzyca,

tym jest na zachodzie Europy, czym my tutaj na wschodzie. Z Francją nam żyć i współżyć.

Zambrzycki nosi się po polsku, jak zresztą i inni zwolennicy sojuszu francuskiego. Nie jest to kwestia mody...

W miarę opróżniania konwi z winem dyskusja stawała się coraz bardziej chaotyczna i namiętna. Kłócono się o zgodność obrazu z naturą czy też z ideałem piękna, o wartość ideową czy formalną sztuki, o wyższość czy schyłkowość współczesnego baroku. Jeden tylko Łukasz wypowiadał się skąpo, raczej monosylabami, za to jadł z oddaniem i nie mniej sumiennie wychylał kubki. Rozstaliśmy się dobrze po północy. Na czele czerechy, podśpiewującej biesiadne kuranety, szedł Łukasz; jego postać, zakończona u góry kudłatą czupryną i wydłużona, przywodziła na myśl miotłę poruszaną czarodziejskim zaklęciem.